

JP KALSKY

FENIKS

BEZ POPIOŁÓW



JP KALSKY

FENIKS
BEZ POPIOŁÓW

Copyright by JP Kalsky

Projekt okładki: JP Kalsky

Korekta i skład: Katarzyna Krzan

ISBN e-book: 978-83-979528-0-5

ISBN druk 978-83-979528-1-2

Wydawca: **JP Kalsky**

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2026

Spis treści

Prolog	5
Rozdział 1 – Wypadek – klatka po klatce	13
Rozdział 2 – Szpital rehabilitacyjny	31
Rozdział 3 – Powrót do pracy	47
Rozdział 4 – Reset systemu	62
Rozdział 5 – Rehabilitacja prywatna	77
Rozdział 6 – Nowa normalność	92
Rozdział 7 – System naprawczy	105
Rozdział 8 – Feniks w dresie	116
Rozdział 9 – Rewizja priorytetów	138
Rozdział 10 – Człowiek po gwarancji	155
Rozdział 11 – Związek sp. z o.o.	169
Rozdział 12 – Instrukcja obsługi człowieka	188
Rozdział 13 – Terytorium błędu	206
Rozdział 14 – Dni, które działają	220
Rozdział 15 – Cisza po burzy	234
EPILOG – Feniks bez popiołów	252
DODATEK – INSTRUKCJA BEZPIECZEŃSTWA	263
Podziękowania	269
SŁOWNIK JP KALSKY DELUXE	273
O AUTORZE	277

Prolog

Nie wiedziałem, że można się połamać od psa.

Jeden skręt, jeden stopień za dużo i chrup. Nie było krzyku, tylko kliknięcie w środku. Jakby ktoś nacisnął „delete” w moim systemie nerwowym. I w tej sekundzie skończyło się „kiedys”. Zostało tylko „teraz”.

Jeszcze rano myślałem, że kontroluję świat, bo mam kalendarz w iPhonie. Pies uznał, że to świetny moment, żeby zagrać w Assassin’s Creed. Ja byłem tylko figurantem w tej misji. Zresztą tak to właśnie wyglądało: jeden ruch, jeden skręt, jeden moment nieuwagi, i nagle z człowieka sterującego zespołami, projektami, inwestycjami – zostajesz człowiekiem, który próbuje sterować własnym pęcherzem.

I to jest moment, w którym kończy się kontrola, a zaczyna prawda.

Świat się złożył. Dosłownie.

Kręgosłup powiedział: „sprawdzam”, a ja przegrałem w grę, której zasad nikt mi nie wytłumaczył. Potem wszystko się uciszyło. Jak po burzy. Tylko że burza została we mnie. Nie ma w tym nic heroicznego. Nie było dramatu jak z filmu – żadnej muzyki smyczkowej, żadnej sekwencji *slow motion*.

Po prostu upadasz.

Nie na kolana w pokorze.

Na schody – w bólu.

Ciało przestaje działać jak sprzęt po gwarancji. I nagle wszystko, co uważałeś za pewne – chód, sen, nawet sikanie – staje się projektem wysokiego ryzyka. Najgorsze, że umysł jeszcze działa, więc widzi groteskę sytuacji. Czujesz, jak bardzo jesteś absurdalny: dorosły facet, który przez całe życie kontrolował zespoły ludzi, teraz nie kontroluje nawet nóg. System nie przewidział tej aktualizacji.

Bez opcji „Undo”.

Szpital pachnie jak dezynfekcja i rezygnacja. Każdy krok pielęgniarki brzmi jak metronom systemu, który działa dokładnie tak długo, jak długo nie zadasz pytań. Kiedy wchodzisz na salę, dostajesz w pakiecie łóżko, kroplówkę i nową tożsamość.

Lekarze są mili – ale to taka uprzejmość jak w banku.

Standardowa formuła: „Proszę się nie martwić”.

A potem dodają coś w rodzaju: „To poważne uszkodzenie nerwów, zobaczymy, jak się Pan zachowa po operacji”. Czyli tłumacząc z medycznego na ludzki: może Pan chodzić, a może Pan zbierać znaczki w pozycji leżącej – losowość sponsoruje anatomia.

Najlepsze są rozmowy z innymi pacjentami. Każdy ma swoją wersję piekła: złamany kręgosłup, uszkodzony rdzeń, wypadek na motorze, dachowanie, skok do wody, zderzenie z drzewem, upadek z dachu czy balkonu.

Loteria nieszczęść. Każdy ma swoją wersję katastrofy. Tylko daty inne, scenariusz ten sam. Jakbyś wylądował na firmowej integracji, tylko zamiast konkursu karaoke – konkurs na najbardziej spektakularny uraz. Nagroda: pregabalin i coś na depresję.

Kiedy słyszysz słowo „operacja”, wyobrażasz sobie zespół specjalistów w skupieniu, precyzję, wiedzę, technologię. Rzeczywistość to zimna sala, białe światło i metaliczny dźwięk narzędzi. W narkozie wszystko wydaje się abstrakcją, ale wiesz, że po przebudzeniu nic już nie będzie takie samo. Budzenie się po operacji to jak włączenie komputera po przepięciu. Niby się uruchamia, ale coś trzeszczy, coś nie startuje, a system co chwilę pyta: „Czy na pewno chcesz kontynuować?”. Nie wiesz, czy się śmiać, czy płakać, więc robisz to, co zawsze w takich momentach – udajesz, że masz plan.

Pierwszy raz po operacji wstajesz. Raczej: próbujesz się ruszyć, wszędzie wiszą jakieś kable masz jednorazową piżamkę i po jednej igle w każdej ręce do której leci jakiś płyn który pielęgniarki wymieniają co chwila. To przypomina montaż filmu akcji przez reżysera kina niezależnego – dużo napięcia, zero efektów specjalnych. Każdy ruch to negocjacje z ciałem, bólem i grawitacją.

Pielęgniarka mówi: „Proszę spokojnie, małymi krokami”.

Myślisz: „małymi krokami? Stary, ja się modłę, żeby zrobić jeden tak żeby mi nie wypadł pampers”. Ale uśmiechasz się. Bo przecież trzeba być pozytywnie

nastawionym, prawda? W tym momencie zaczynasz rozumieć, że „pozytywne myślenie” to luksus ludzi, którym działa układ nerwowy.

Nie ma podręcznika „Jak żyć po operacji ogona końskiego”. Nie znajdziesz go na Amazonie czy Allegro. A jeśli by istniał, miałyby pewnie rozdziały typu:

Jak udawać, że wszystko gra, gdy boli jak cholera.

Jak nie krzyczeć przy zmianie opatrunku.

Jak nie udusić rehabilitanta, który mówi: „Jeszcze tylko raz”.

I tak – mówimy o ciele, które testuje granice wytrzymałości, ale też poczucia humoru. Bo trzeba przyznać – ironia losu ma świetne wyczucie czasu.

Wiesz, co jest gorsze od bólu? Biuro po dłuższym L4. Wracasz z planem: spokojnie, powoli, z sensem. A potem słyszysz: „Super, że wróciłeś! Właśnie mamy dużo do nadrobienia – no wiesz jak jest, trochę cię nie było.”

Witaj w rzeczywistości, gdzie Twoja rekonwalescencja musi być zgodna z KPI. I wtedy uświadamiasz sobie, że korporacja ma większy wpływ na Twój kręgosłup niż chirurg.

Współpracownicy dzielą się na trzy grupy:

Litościacy – mówią „Biedny Ty”, po czym proszą o raport.

Sceptycy – udają troskę, ale sprawdzają, czy naprawdę „aż tak Cię boli”.

Zombiaki – ignorują temat, bo nie wiedzą, jak się zachować, więc udają, że nic się nie stało.

Wszyscy razem tworzą firmową orkiestrę współczucia na pół etatu. Empatia w pracy działa jak *trial* na oprogramowanie: darmowa przez 14 dni. Później trzeba wykupić subskrypcję. Tyle że nikt nie kupuje.

Pierwsze dwa tygodnie – wiadomości, wsparcie, nawet kwiaty. Potem: cisza.

Bo przecież życie toczy się dalej, a Ty jesteś tylko przypisem do działu kadr. Kiedy prosisz o pracę zdalną, zaczynają się rozmowy o balansie, sprawiedliwości, standardach zespołu. Twoja historia okazuje się nie dramatem, tylko komedią biurokratyczną. Z tym że bilety sprzedają tylko Tobie. Rehabilitacja państwowa to doświadczenie metafizyczne. Masz skierowanie, termin za trzy miesiące i listę ćwiczeń, które możesz wykonywać w międzyczasie, jeśli masz czas, siłę i sprzęt, którego nie masz. Reszta działa w trybie „zrób to sam”, tylko że na układzie nerwowym.

Więc idziesz prywatnie. Bo przecież „zdrowie jest bezcenne” – do momentu, aż dostajesz fakturę. Wtedy już wiesz, ile kosztuje bycie bezcennym.

Każda sesja to jak spotkanie z własnym cieniem. Wchodzisz z bólem, wychodzisz z bólem, tylko droższym. Ale robisz to, bo alternatywą jest stagnacja. A stagnacja to śmierć w odcinkach. W tym wszystkim zaczynasz doceniać małe rzeczy: każdy centymetr ruchu, każdy oddech bez grymasu, każdy dzień, w którym ból nie wygrywa na punkty. To Twoje nowe KPI: „Nie zwańrować” i „Nie rzucić kulą w telewizor”.

Państwo ma dla Ciebie wsparcie. Tyle że zanim je dostaniesz, musisz wypełnić 47 dokumentów, udowodnić, że faktycznie nie czujesz nóg, i przejść przez proces tak długi, że mógłbyś w tym czasie nauczyć się nowego zawodu.

Na przykład: biurokrata.

Komisja orzeka, że jesteś „umiarkowanie niepełnosprawny”. Cokolwiek to znaczy. Jakby istniała jakaś tabela:

- lekko – złamany paznokieć,
- umiarkowanie – kręgosłup jak origami,
- znacznie – dopiero jak Cię złożą w urnie.

Ale nie narzekasz, bo wiesz, że to gra o przetrwanie. A w tej grze liczy się tylko jedno: nie dać się zgnieść między paragrafami.

Praca zdalna brzmi jak marzenie: kawa, cisza, brak korków. W praktyce to cela z laptopem i powiadomieniami z Teamsa. Zamiast wolności masz logowanie do systemu i kamerkę, która widzi więcej niż terapeuta. Siedzenie staje się torturą, a stwierdzenie „spotkanie online” – wyrokiem.

Kiedys mówiłeś, że praca to Twój drugi dom. Teraz Twój dom to druga praca. Z tą różnicą, że w biurze przynajmniej ktoś zrobił kawę. To, co przeżywasz, filtruje otoczenie jak sito. Zostają nieliczni – ci, którzy rozumieją, że nie potrzebujesz współczucia, tylko normalnej rozmowy. Reszta odpada w procesie naturalnej selekcji. Nie złośliwie, po prostu świat nie lubi konfrontacji z czyimś

bólem. Zamiast „Jak się czujesz?” woła „Słyszałeś, że znowu podnieśli VAT?”. I wtedy przychodzi refleksja: życie to nie to, co masz, tylko to, kto przy Tobie zostaje, kiedy przestajesz być „przydatny”.

Śmiech to jedyny legalny narkotyk, który działa nawet na ludzi po operacji kręgosłupa. Czasem śmiejesz się z bólu, czasem z absurdu, czasem po prostu, żeby nie krzyknąć. Bo gdybyś miał wziąć wszystko na serio, musiałbyś się zwinąć w kłębek i zacząć recytować regulamin NFZ.

Zresztą, jeśli życie to teatr, to niech przynajmniej będzie to czarna komedia. Z tobą w roli głównej, bo nikt inny nie chce grać człowieka, któremu zespół ogona końskiego spłatał figla.

Wszyscy mówią o odrodzeniu. Nikt nie mówi o rachunkach.

Feniks – ale bez popiołów

Nie ma w tym historii o cudzie.

Nie ma wzruszeń, chórów anielskich, nagłego olśnienia, że „życie jest piękne”.

Jest ból, pot, sarkazm i nieprzyzwoicie drogie rachunki za rehabilitację.

Jest gniew, frustracja, i ten idiotyczny uśmiech, który zakładasz, żeby ludzie nie pytali.

Ale jest też coś jeszcze. Cicha, twarda decyzja: nie odpuszczę. Nie po to, żeby udowodnić coś światu. Po to, żeby wrócić do życia, które – mimo wszystko – wciąż jest moje.

Feniks bez popiołów, bo nic nie spłonęło do końca. Po prostu trzeba było wszystko złożyć na nowo, jak stary pistolet po czyszczeniu. Z cierpliwością, ironią i świadomością, że działa nie dlatego, że wygląda dobrze, tylko dlatego, że przetrwał.

Kiedyś myślałem, że siła to tempo, wyniki, liczby, sukces. Dziś wiem, że siła to wstać rano, choć nie musisz. To zjeść śniadanie, choć nie masz apetytu. To śmiać się z bólu, zanim on zaśmieje się z ciebie.

Planować przyszłość, choć terażniejszość jeszcze boli.

Nie z popiołów. Z uporą. Czasem to jedyna dostępna terapia.

Bo czasem nie chodzi o to, żeby wzlecieć. Wystarczy znów stanąć.

O AUTORZE

JP Kalsky – autor piszący o życiu po awarii. O ciele, które przestaje słuchać, o systemach, które nie wiedzą, co zrobić z człowiekiem, i o codziennym odbudowywaniu sensu tam, gdzie nie ma już prostych odpowiedzi. Zawodowo przez lata związany z przemysłem i korporacyjną rzeczywistością, prywatnie zmuszony do zatrzymania się w momencie, w którym wszystko miało działać „jak zawsze”.

„Feniks bez popiołów” to osobista opowieść o doświadczeniu ciężkiego urazu, szpitalach, rehabilitacji i powrocie do życia, które nie wraca w tej samej formie. To nie jest historia o cudzie ani o szybkim zwycięstwie – raczej o upartości, ironii i próbie zachowania godności w świecie procedur, bólu i absurdów.

Autor pisze bez lukru, bez motywacyjnych haseł i bez udawania, że każda historia musi kończyć się happy endem. Interesuje go to, co zostaje z człowieka, kiedy znika sprawność, tempo i dotychczasowa tożsamość – oraz to, jak z tych resztek zbudować coś, co nadal można nazwać życiem.